

MICHAŁ MORPHY.

# KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego MARYA SEGENY.

4

— Mój Boże! Jestem szczerym przyjacielem turystów, ale skoro przyjeżdżają tutaj, aby się pozbyć pieniędzy, dlaczegoż nie mam i ja skorzystać. A czasem bywa, że i ja daję...

— Oh! czy to możliwe?

— Tak jest, właściwie pożyczam. Gdy takiemu cudzoziemcowi braknie złota, to ma jeszcze kosztowności, listy zastawne, garderobę bogatą, złote lornetki, kufry, nesesery. Uwalniam ich od tych drobiazgów, dając wzamian kwotę, potrzebną na podróż powrotną.

— To wspaniałe!

— Nie zdaje ci się to podobać. A jednak zaprowadzić cię to może daleko, zważywszy znajomości wpływowo, jakie się zawiera.

— Tak, na inspekcję policyjną.

— To jeszcze nie dożyłotnie więzienie, pamiętaj Delrue — rzekł znacząco aferzysta.

— Pan znajdzie odpowiedź na wszystko — odparł Andrzej ze słodkim uśmiechem na twarzy.

— Ano, robi się, co może. Teraz, chodź, mój kochany, pokażę ci moje składy. Znajdziemy w nich wytworne ubranie dla ciebie. Mam właściwie pod ręką, co mi potrzeba. Pozostałość po jednym Angliku, który, lekkomyślnie po dwóch tygodniach wspaniałej zabawy, w łeb sobie strzelił.

— Wyglądasz jak ambasador — zawołał Collin Megret, gdy Andrzej zrzucił swoje zniszczone ubranie, a włożył garnitur angielskiego lorda. — A teraz do roboty! Pociąg pospieszny z Calais przybywa za kilka minut. To dobra gratka dla nas. Staraj się rozdać jak najwięcej prospektów. Ale à propos, zalecać trzeba usilnie kantor barona de Bressien.

— Barona de Bressien? Tego miliardera?

— Tak! tak! Dostawca moich kapitałów! Dziwi cię to? Trudno, mój drogi! Człowiek zawsze musi od kogoś zależeć.

Biura agencji Collin-Megret mieściły się na pierwszym piętrze, na dole był sklep z wejściem od ulicy, po drugiej zaś stronie sieni znajdował się magazyn mód, łączący się dyskretnie z ubikacjami pierwszego piętra małymi, krętymi schodami, zręcznie zamaskowanymi ciężką draperią. Na jednej ścianie klatki schodowej widniał napis: „Przewodnik światowy“, na drugiej: „Pani Wiktorya“ — modystka.

Pani Wiktorya, była to kobieta czterdziestoletnia, dobrze zakonserwowana na swój wiek. W pracowni jej, zawsze ruchliwej i pełnej gości obojga płci, pracowano do późnego wieczora, a niekiedy bawiono się noc całą, gdyż wspaniałomyślna kierowniczką pracowni wydawała od czasu do czasu tańczące herbatki dla swoich robotnic i ulubionych klientek.

Pracownia miała dwa wejścia, jedno od ulicy, drugie przez główne schody.

Pani Wiktorya słynęła z dobrego serca i usługowości w całej dzielnicy. Przychodziła z pomocą wytworniejszej swojej klienteli w chwilach przykrzejszych, przyjmując chwilowo zastawy, pożyczając niewielkie sumy pieniężne, to znowu służąc w delikatnych sprawach radą rozsądną i doświadczoną, wróżyć z kart i ręki, słowem prowadziła na małą skalę ten sam proceder, co zacny jej sąsiad pan Collin-Megret.

Nie uszło to uwagi Andrzeja Delrue, zajmującego już przy wydawcy „Przewodnika“ rolę sekretarza.

Zacną tę parę musiała łączyć wspólność interesów, a może i małżeństwo.

Zauważył bowiem, że w pewnych identycznych godzinach pan Collin-Megret i pani Wiktorya udawali się zamaskowanymi schodami na górne piętro i znowu pojawiali się równocześnie, ona w pracowni, on w kantorze o tej samej porze. I tu, i tam odkrył Delrue mały telefon lokalny, komunikujący z obydwojma mieszkaniem. Delrue wkońcu doszedł do odkrycia, że para ta spotykała się przy wspólnym śniadaniu i obiedzie.

Ale dlaczego zachowywali tyle ostrożności? Dla Andrzeja już jasnym było, że „Przewodnik“ pana Collin-Megret i „Mody“ pani Wiktoryi, to jedno przedsiębiorstwo. Kogóż więc oszukać chcieli ci ludzie, zachowując taką dyskretyję w stosunkach wzajemnych? Spotkawszy się na schodach, witali się skinieniem głowy jako zwykli sąsiedzi.

Tajemnicę tę Andrzej Delrue postanowił zbadać,

przeczuwając pod nią coś, co mogłoby mu być potrzebne jako atut w ręce wobec pryncypała, którego teraz być musiał jeszcze zaspędanym niewolnikiem.

Jednego wieczora, kiedy Andrzej towarzyszył jako cicerone grubemu Wiedeńczykowi po wszystkich spelunkach nocnych Paryża, usłyszał, jak ktoś wołał za nim radośnie:

— Delrue! Delrue! Nie poznajesz mnie? Kermor z liceum w Rennes! To nie ładnie z twojej strony tak zapominać o kolegach!

Młody człowiek wytwornej postawy szedł ku niemu z ręką wyciągniętą do uścisku.

Delrue znalazł się w przykrem położeniu. Przypomniał sobie, że jeszcze za czasów studenckich wyłudził był większe sumy pieniężne od zamożnego kolegi, o które ten mógł się teraz upomnieć, a z drugiej strony nęciło go utrzymanie znajomości z człowiekiem tej sfery.

Zdecydował się jednak prędko; pozostawił swojego klienta, zajętego ożywioną rozmową z jakimiś kobietami na prędce poznanymi, i przysiadł się do stolika Henryka de Kermor.

— Pozwolisz, że zjemy kolację? — zaproponował młody hrabia z serdeczną uprzejmością.

— O nie, dziękuję ci. Jestem zmuszony ci odmówić!

— Zartujesz chyba! Dlaczegoż to?

— Bo nie byłbym w stanie zrewanżować ci się — odpowiedział Delrue rozmyślnie — A pamiętam jeszcze zobowiązania, zaciągnięte względem ciebie.

— Ależ Andrzeju! Co to za żarty! Nie pojmuję, jak możesz zachowywać się w ten sposób wobec dawnego towarzysza.

— Tak, byłeś towarzyszem mojej przeszłości, ale dziś sytuacja się zmieniła. Dziś, ty jesteś hrabią de Kermor, dziedzicem wielkiej fortuny, a ja jestem niczem.

— A więc, mój biedaku, nie poszczęściło ci się w życiu? Sądziłem, że jesteś już adwokatem lub doktorem. Przy twojej inteligencji...

— Co chcesz, mój drogi, wiesz, że ojciec mój był prostym rolnikiem; umarł nagle, nie pozostawivszy mi funduszu, potrzebnych do ukończenia studiów.

— A więc z czego ty żyjesz teraz?

— Z nędznej pracy, którą utracić mogę dnia każdego. Jestem sekretarzem jakiegoś doradcy prawnego, z pensją wynoszącą sto franków miesięcznie.

— Ależ to doprawdy ostatnia nędza — zawołał wzruszony młody hrabia,

— Henryku, mógłbyś mnie wyratować, wynaleźć coś lepszego trochę.

— Tak, tak, pomyślę o tem, bądź pewny. A teraz ani słowa więcej! Idziesz ze mną na kolację.

Gdy znaleźli się w gabinecie pierwszorzędnej restauracji i po wystawnej kolacji zapalili cygara, Henryk de Kermor rzekł poważnie, ściskając towarzysza za rękę.

— Andrzeju! Może mi wyrządzisz wielką, niezapomnianą przysługę.

— Ja? Tobie?

— Tak, ty mnie. Jesteś człowiekiem wielkiego serca i wysokiej inteligencji. Daj rękę na znak, że nie odmówisz mojej prośbie. Chcę ci powierzyć zadanie trudne i bardzo delikatnej natury. Możesz uratować od nieszczęścia moją biedną matkę i ojca.

— Henryku! Nie rozumiem cię.

— Zaraz zrozumiesz, posłuchaj tylko.

W kilku słowach młody hrabia wtajemniczył przyjaciela w smutne przejsia swoje i rodzinne. Ojciec jego z lekkomyślnością wielkich panów niszczył dziedziczny majątek, pomimo zabiegów i wysiłków matki, aby powstrzymać ruinę, grożącą im w niedalekiej przyszłości, a on, Henryk, zmuszony był szukać po świecie sytuacji, mogącej mu zapewnić utrzymanie choć resztek zrujnowanej fortuny.

— A w czymże ja ci tu mogę być pomocnym? — zapytał ze zdziwieniem Delrue.

— Nasz stary plenipotent umarł. Chcę, żebyś go zastąpił. Jest to niebezpieczne stanowisko, ostrzegam cię.

— Dlaczego?

— Śmierć jego otoczona jest tajemnicą, wypadek na polowaniu.

— Czybyście mieli nieprzyjaciół?

— Gorzej, bo przyjaciół fałszywych... którzy niszczą mojego ojca, jeżeli go nie potrafimy obronić.

— Ale z jakiej przyczyny ludzie ci mogli czuć nienawiść do plenipotenty markiza?

— Oh! To był prawdziwy Bretończyk, bronił naszego mienia, jak pies najwierniejszy i zawadzał tym naszym przyjaciółom. Takie jest moje przekonanie.

— Chcesz, żebym go zastąpił?

— Andrzeju! Ty jeden, jedyny!

— A więc masz moją rękę. Od dziś dnia po święcie życie całe rodzinie twojej.

Henryk ze wzruszeniem uściskał przyjaciela. Na jutro Andrzej Delrue stawiał się w pałacu Kermorów przy ul. Beotic, gorąco polecony przez przyjaciela staremu markizowi. Przyjęto go, jak dawnego, dobrego znajomego. Markiz był olśniony żywą inteligencją nowego plenipotenty, jego taktem i znajomością ludzi.

— Andrzeju — rzekł Henryk, gdy po dłuższej konferencji z ojcem, młodzi ludzie znaleźli się sami — mam nadzieję, że potrafiś zaszachować podstępne zamiary barona le Bressien, który najwięcej korzysta z łatwowierności ojca.

— To ten bankier z bulwaru Haussmana?

— Tak! Stał się cieniem markiza. A układny przytem i nadskakujący. Nie dowierzaj mu, Andrzeju, proszę cię.

— Bądź spokojny, będę się miał na ostrożności.

Jeszcze tego samego dnia Delrue postanowił wykupić koniecznie od lichwiarza ów nieszczęsny kwit z jego podpisem. Na szczęście nie był bez pieniędzy. Henryk wsunął mu delikatnie do kieszeni 1.500 franków; była to suma, którą miał odtąd pobierać kwartalnie za pracę swoją.

Pierwszem staraniem nowego plenipotenty było przebrać się od stóp do głów i odesłać przez posłańca panu Collin-Megret pożyczone od niego ubranie. Następnie wsiadł do otwartego powozu, zapalił cygaro i kazał się zawieźć na ulicę św. Łazarza.

Pani Wiktorya stała właśnie na progu swojego mieszkania, a stary lichwiarz siedział za okienkiem w kancelarii swej, zajęty przeglądaniem rachunków.

— Dzień dobry, ojcie Collin-Megret. Otrzymałeś moją przesyłkę wraz z zapowiedzią odwiedzin? — zapytał śmiało Delrue.

— He? co? Co za przesyłka? Jakie odwiedziny? — skoczył lichwiarz, wyprowadzony ze zwykłego spokoju.

— Jaka przesyłka! Ależ ta z ubraniami, łaskawie mi wypożyczonem przez pana, szanowny panie Collin Megret.

— Nie otrzymałem nic i nie wiem, do czego pan zmierza.

— Oh! szkoda moich kilku franków, danych posłańcowi. Kanalia! widocznie nie odniósł, szczęście, że zapamiętałem sobie jego numer.

— Policyjanci także noszą numera. Czy chcesz pan, abym zawołał tu jednego?

— Jednego? Wolne żarty, ojcie Collin-Megret! Potrzeba nam dwóch, a przepraszam, trzech, zapomniałem o czcigodnej pani Collin-Megret.

Na te słowa dyrektor przedsiębiorstwa zerwał się z krzesła.

— Pani Collin-Megret? — powtórzył, jakając się. — Chodź pan za mną do gabinetu, tu nie można mówić!

Lichwiarz dyszał ciężko, wstępując po stromych, wąskich schodach do swojego mieszkania. Widoczne zuchwałstwo jego sekretarza i wygląd, świadczący o nagłym dobrobycie, zaniepokoiły go bardzo.

— Oh! oh! — zawołał Andrzej Delrue, wchodząc do gabinetu — Co widzę! Oto moja przesyłka i rozpakowana do tego! Psujesz mi się, ojcie Collin-Megret, i przestajesz być szczerym.

— Będę nim — wybuchnął lichwiarz — Wiedzę, że szantaż nie udaje się ze mną. Delrue, ty masz pieniądze w kieszeni, ale to są pieniądze kradzione! Podwójnie trzymam cię w ręce!

— Galopujesz się w przypuszczeniach, szanowny pryncypale, przekonam cię wkrótce.

— To ja cię przekonam, że ograbiłeś tego piwowara z Wiednia. Znalezione go dziś rano na ławce bez centima w kieszeni.

— Oh! oh! To ciekawe! Musiał być w dobrej kompanii!

— Był z panem! Tylko z panem!

— Pomyłka! Ten wiedeński turysta był zupełnie pijany. Puściłem go więc, robił co chciał. Uspokój się pan, panie Collin-Megret, mam dobre alibi dla siebie.

— Świadcstwo współnika.

— Coś innego! Spędziłem wieczór w towarzystwie dawnego kolegi, który...

— Który? podchwycił lichwiarz.

— Należy do policyj — kończył spokojnie Delrue — Mam nawet zamiar wstąpić do tej wspaniałej korporacji.

— Oh! — mruknął aferzysta ze złością — I tak zaraz wspaniałomyślnie opłacono twoje usługi?

— Zapewne, znam tyle interesujących rzeczy!

— Domyślam się! Zdradziłeś mnie za własne moje pieniądze.

— Druga pomyłka! Zająłem się tylko wyłącznie czcigodną małżonką pana i współniczką, panią Wiktoryą.